

Paryż bez ślimaków i żabich udek

Dziennik emigranta 1980-1981

Zmoczony do ostatniego nitu samolot kołował na pasie startowym. Po chwili zawył z całą mocą silników. Zaczął cały trzeszczeć. Miał zablokowane hamulce. Wreszcie niczym kamień wypuszczony z procy ruszył z szybkością, która wcisnęła wszystkich pasażerów w fotele. Niektórzy ukradkiem się przeżegnali. Kropelki deszczu na szybach, za którymi majaczyły ostatnie obrazy Okęcia, robiły się coraz mniejsze. W końcu spłynęły i zostały gdzieś z tyłu. Tak jak szare lotnisko. Jesień. Był koniec października 1980 roku.

Dudnienie kół ucichło. Kolos uniósł się do góry. Chrobotnęły klapy podwozia. Samolot przebił się przez szarą watę chmur. Nagle, jak piorun w nocy, rozbłysło słońce. Mieli je gonić w kierunku zachodnim.

Ludzie odetchnęli. Zaczęli rozmawiać. Luz jednak nie był całkowity. Przed lądowaniem w Paryżu samolot Polskich Linii Lotniczych LOT miał na chwilę przysiąść na enerdowskim Schönefeld koło Berlina. Daleko od wolności. Lecieli krajowymi liniami. Porywacze, którzy pragnęli uciec na zachód, byli plagą lokalnych połączeń lotowskich. Zwykle wybierali docelowo Tempelhof w części zachodniej dawnej stolicy III Rzeszy.

Przed Michałem kręcił się na fotelu znany dziennikarz z telewizyjnego sobotniego Monitora. U niego nie było widać śladów napięcia. Rozmawiał z kimś siedzącym obok. Swoje tyrady przeplatał wybuchami śmiechu. Swoboda światowca. Po chwili do zagadanych mężczyzn podeszła urocza stewardesa. Przyniosła dwie szklanki napoju. Dało się wyczuć zapach alkoholu. To był chyba koniak.

Tak podróżują ważni ludzie. Myśl Michała błędziła jednak gdzie indziej. Radość z wyjazdu co chwilę mąciły lęki. Jechał do Paryża, mając w portfelu 150 dolarów. Bez gwarancji, że uda mu się gdzieś bez problemów przespać choćby pierwszą noc. Planował odwiedzić kuzynostwo i poprosić o krótką gościnę, ale nie miał na ten temat żadnego potwierdzenia.

*„Jeśli zbyt długo patrzysz w czeluść,
czeluść zaczyna patrzeć na ciebie”*

– przypomniał mu się cytat z Nietzschego.

Te czarne myśli przerwało lądowanie w Berlinie.

Żelazna Kurtyna

Wszyscy musieli opuścić samolot. Asystowali w tym groźnie wyglądający żołnierze Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Mundury inne, ale twarze przypominały te ze zdjęć z frontów drugiej wojny światowej.

Oczekiwanie w sali tranzytowej na Schönefeld się przedłużało. Większość pasażerów z Warszawy bez ruchu zastęgała na twardych ławkach. Jedynie redaktor telewizyjny razem z tym, który siedział obok niego, brylowali przy barze znajdującym się w końcu poczekalni.

Dziennikarz musiał znać Berlin jak własną kieszeń. Stąd przecież relacjonował procesy norymberskie. Zasłużył się też później władzom. Pisał paszkwile o węgierskim przeciwniku socjalizmu kardynale Józefie Mindszenty. Nazwał go publicznie: „faszystą, szpiegiem i handlarzem walutą”.

Pewnie już o tym dawno zapomniał. Jak i o wynurzeniach, jaki to kapitalizm jest wstrętny, zakłamany i godny pogardy. Był aktywistą partii, która zozydzała „zgniły zachód” za „żelazną kurtyną”. Teraz chyba jechał tam z przyjemnością. Gestykulował rękoma tak mocno, że jego długie, siwe włosy podfrwały jak pianicie wykonującemu etiudę rewolucyjną Chopina. Przypominał swojego sławnego starszego brata, znanego muzyka.

O czym tak dyskutowali, wychylając kolejne kieliszki koniaku? Pewnie nie o wyższości

socjalizmu nad kapitalizmem.

– Szczęśliwi ludzie – pomyślał Michał i podszedł do baru, aby sprawdzić ceny.

Po przeliczeniu zorientował się, że jego waluty przeznaczonej na drobne wydatki wystarcząby najwyżej na zakup gumy do żucia z historyjką o Kaczorze Donaldzie. Na tę myśl aż się wzdrygnął. Chwył za kieszę, sprawdzając, czy portfel i paszport z orłem bez korony są w niej nadal. Okazało się, że są. Odetchnął z ulgą.

Przerwa nie była długa i znów wsiedli do aluminiowego cygara. Teraz już definitywnie mieli zostawić za sobą demoludy, w których wegetował socjalizm, a z nim także ludzie. Żelazna kurtyna jesienią 1980 roku zaczęła się nieco marszczyć na rogach. Beznadziejny spektakl eksperymentu Marksa jednak trwał nadal. Do niedawna nie było nadziei, że coś się zmieni. Teraz Polacy powstali i eksplodowała „Solidarność”.

Zginiły zachód przyprawiony czosnkiem i miętą

O 10 rano samolot wylądował na Orly. Nikt na granicy nie czekał na Michała. Nikt też nie zaglądał do jego brązowej zniszczonej torby. Gdyby nie dostał z zaskoczenia pieczątki w paszporcie, nie zauważyłby nawet kontroli. Po tym, jak wybebeszono mu cały dobytek na lotnisku w Warszawie, było to przyjemną odmianą. Zginiły zachód z wyższości dobrobytu i siły traktował wschód.

Michał był już przejazdem w Paryżu. Dwa lata wcześniej korzystał z gościny u znajomych w Bretanii. Tym razem zamierzał podróżować samodzielnie i na własny rachunek. To był dla niego czas próby.

– Będzie klęska lub zwycięstwo – powtarzał sobie, kierując się na przystanek obok lotniska.

Autobusem miał dojechać na Place d'Italy. Stamtąd według spisane go odręcznie planu metrem przejechać na północ Paryża do mieszkania dalekiego kuzyna. To właśnie u niego zamierzał przenocować. Nigdy wcześniej go nie widział. Pamiętał z dzieciństwa opowieści o nim i jego braciach. Każdy z nich przeżył jakąś dramatyczną historię związaną z powstaniem warszawskim i wywózką na zachód. Jeden z nich był światowej sławy inżynierem. Specjalista od metali. To właśnie on był przejazdem w Polsce i zapewniał, że wszystko omówi z bratem w Paryżu. Tamten miał udzielić gościny przybyszowi z Polski.

Znów ten wymarzony Paryż. Michał pamiętał swoją pierwszą podróż do Francji w 1978 roku, zaraz po pierwszym roku studiów. Wtedy kontrast tego kraju z siermiężną Polską był szokujący. Tym razem, przynajmniej na początku, wrażenie było dużo mniej silne. Nie było już tak kolorowo, bogato i pięknie.

Prawie godzinna jazda autobusem na Place d'Italy zweryfikowała jednak pierwsze wrażenie. Mylił się. Nadal Paryż powalał wielkomięjskością. Wieki historii tego miasta czaiły się za każdym rogiem. Ludzie byli inaczej i znacznie lepiej ubrani niż Polacy. I te nowoczesne samochody, głównie francuskie, pędzące po brukowanych ulicach.

Na Place d'Italy odszukał metro. Od razu pojawił się problem. Zorientował się, że potrzebny jest mu bilet. Przez chwilę stał bezradnie, rozglądając się za kasą. Na tej stacji najwyraźniej jej nie było. Musiał swoim zachowaniem zwrócić uwagę innych. Podeszła do niego starsza kobieta. Zapytała, dlaczego nie przechodzi stalowego kołowrotka prowadzącego na peron. Rozłożył bezradnie ręce, dając do zrozumienia, że nie ma biletu. Kobieta wyjęła z portfela mały pomarańczowy kartonik. Pokazała, jak go użyć. Chciał zapłacić, ale odmówiła.

– Bonne voyage – powiedziała na odchodne.

Metro wydawało dziwne dźwięki: piski, trzaski, zgrzyty, chrobotanie. Nie było o tej porze zatłoczone. Po kilkadziesiąt minutach skład dojechał do 17. dzielnicy. Po wyjściu zapachniało Afryką Północną. Kminek, ostra papryka, koper, imbir, pieprz, kolendra, czosnek i mięta tworzyły słodko-kwaśną mieszankę, obcą dla słowiańskiego nosa.

– Paryż to nie tylko Champs-Élysées – pomyślał na pocieszenie, rozglądając się wokół za słynnym Alibabą i 40 rozbójnikami.

Według przygotowanego wcześniej planu pozostał mu jeszcze prawie kilometr do celu. Ogarniał go coraz większy niepokój. Torba, w której miał cały swój dobytek, wydawała się teraz cięższa.

Postanowił na chwilę odwrócić się, co nieuchronnie, zebrać myśli i zastanowić się, jak zauroczyć kuzynostwo. Rozglądał się za miejscem, gdzie mógłby na chwilę przysiąść.

– Żeby tylko mnie nie przegnali na cztery wiatry – pomyślał.

Na ulicy przy kawiarni było wystawionych parę stolików. Przesiadł na skraju. Potrzebował chwili skupienia. Spokój nie trwał długo. Pojawił się śniady kelner z przepasanym białym fartuchem. Chciał przyjąć zamówienie. Wiadomo, co to oznaczało. Czas związać manatki. Michał wstał i ruszył prosto pod wskazany adres. To, co widział wokół, nie dodawało mu pewności siebie. W niczym nie przypominało Paryża z pocztówek.

Schody do nieba

Wreszcie dotarł na miejsce. Kamienica była przesadnie wysoka w stosunku do swojej podstawy. Wokół nie było innych budynków, tylko puste place po wyburzeniach. Szara, odrapana, ze starymi drzwiami wejściowymi. Trochę przypominała domy z prawobrzeżnej Warszawy. Miała 8 pięter. Kuzyn mieszkał na ostatnim. Nie było windy. Michał z lekką zadyszka spowodowaną bardziej strachem niż zmęczeniem stanął w wąskiej klatce. Była w tym miejscu bardzo widna. Słońce wpadało do środka przez świetlik dachowy. W korytarzu stały kwiaty w doniczkach i jakieś stare buciory. Doszedł nieśmiało do drzwi i zapukał. Serce biło mu jak dzwon. Długo nie było reakcji. Wydawało mu się jednak, że ktoś obserwuje go przez judasza. Wreszcie drzwi lekko się uchyliły. Pokazała się w szczelinie twarz starszej kobiety.

– Que veux-tu, homme? (Czego chcesz, człowieku?) – zapytała.

– Bonjour! Parlez-vous polonais? (Dzień dobry! Czy pani mówi po polsku?) – starał się za wszelką cenę podtrzymać konwersację, aby kobieta nie zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

– Oui. Qui êtes-vous? (Tak. Kim pan jest?)

Michał szybko próbował wyjaśnić, kim jest i co go sprowadza. Na twarzy właścicielki mieszkania malowało się coraz większe zdziwienie.

– Nikt nie zapowiadał pana wizyty. Rien du tout – wykrztusiła w końcu z silnym akcentem francuskim.

– Wszystko opowiem. Czy mogę wejść na chwilę? – Michał wiedział, że jej odpowiedź zadecyduje o tym, czy będzie miał gdzie spędzić najbliższą noc, czy też czeka go, w najgorszym przypadku, jakiś dworzec lub ławka.

Po chwili wahania kobieta uchyliła drzwi. Michał wszedł do przedpokoju.

– Niech pan zostawi tutaj bagaż – powiedziała teraz już całkiem miłym tonem. – Zapraszam do mojego „salon”.

Usiedli przy dużym okrągłym stole z kryształowym wazonem na środku.

– Na pewno prezent z Polski – pomyślał Michał. Znajomo wyglądała też szydełkowa ażurowa serwetka. Do Francji Polacy zazwyczaj przywozili w prezencie wyborową, kryształ i jak mówiono, cepelię, czyli wyroby rzemiosła ludowego. – Musiał gościć tu wcześniej niejeden rodak – pocieszał się przybysz zza żelaznej kurtyny.

Salon był małym zagraconym pokoikiem. Meble pochodziły z różnych czasów, gromadzone przez wiele lat. Nie świadczyły ani o przepychu, ani o ubóstwie. Zresztą w porównaniu z polskimi modnymi meblówkami były luksusowe i estetyczne.

Okazało się, że kuzyn trafił przed kilkoma dniami do szpitala. Nie poinformował żony o spodziewanym gościu. Może w ogóle o nim zapomniał, a może nie wiedział?

Michał długo tłumaczył Madame koligacje rodzinne. Odniósł wrażenie, że nie całkiem je zrozumiała, ale przyjęła do akceptującej wiadomości. Atmosfera stała się mniej napięta. Po pewnym czasie dostał nawet mały poczęstunek, co było wielkim gestem, gdyż we Francji ludzie generalnie jedzą wyłącznie w ściśle ustalonych porach.

– Gdzie pan się zatrzyma? – zapytała.

– Myślałem... – głos uwiązał Michałowi w gardle i dokończył nieśmiało – że chociaż na krótko u was?

Madame przez chwilę milczała i patrzyła w okno.

– Może pan przespać jedną noc, ale jutro proszę sobie coś znaleźć – powiedziała w końcu. – Viens, je vais te montrer ta chambre. (Chodź, pokażę ci twój pokój.)

Przeszli ciemnym wąskim korytarzem. Kobieta otworzyła pomieszczenie, w którym miał spędzić noc. Było to coś w rodzaju spiżarni. Małe łóżko, okrągły stół i jedno krzeselko. Nic więcej by się tam nie zmieściło. Pomyślał, że to musiała być kiedyś służbówka.

– Niech pan odpocznie po podróży. O 20. będzie un dîner (kolacja).

Wyszła, zamykając drzwi i nie pytając gościa o nic więcej.

Pomieszczenie nie miało okien.

Wszystko to było trochę przerażające.

– Dobrze się zaczyna – pomyślał Michał.

Najważniejsze jednak, że nie wylądował w pierwszej noc na świeżym powietrzu pod niebem Paryża. Nie byłoby to przyjemne nawet nad Sekwaną, którą tak pięknie opisywał jego ziomek, poeta Guillaume Apollinaire. Mimo wszystko był wdzięczny Madame, że mu zaufała.

Zrobiło się późno. W końcu gospodyni zaprosiła na un dîner.

Madame miała około 60 lat. Wyglądała na to, że kiedyś musiała być bardzo piękna. Nadal smukła i wysoka. Zachowała idealną sylwetkę. Miała regularne rysy, które z trudem przebijały się spod zmęczonej i szarej, naznaczonej bruzdami cery.

Podczas kolacji gospodyni się rozkręciła. Szybko, a chyba nawet za szybko, jak na tak krótką znajomość, zaczęła mówić o swojej pasji. Okazało się, że jest świadkiem Jehowy. Padło wiele słów o miłości do Boga oraz bliźnich. Dzieliła się wiedzą biblijną zgodnie z nakazami swojej wiary. Michał

próbował nieśmiało zmienić temat, ale bezskutecznie.

– Podobnie jak starożytni prorocy staramy się docierać do innych. To jest le message de Dieu (przekaz Boga), wielokrotnie nawet, jak quelqu'un ne veut pas ça (ktoś tego nie chce) – spojrzała wymownie na Michała. – A ponieważ kochamy naszych bliźnich, chcemy się dzielić dobrą nowiną o Le Royaume de Dieu (Królestwie Bożym).

Kobieta mówiła na przemian po polsku i francusku. W końcu na stole między deserem a pleśniowymi serami wylądowała Biblia.

– Wierzysz w Biblię? – zapytała i nie spuszczała wzroku z jego twarzy, szukając odpowiedzi w mimice.

– Wierzę w Boga – odparł Michał.

– Les Témoins de Jéhovah – ciągnęła – postrzegają świat jako zło, które wkrótce zniknie.

Michał zaczął wybiórczo słuchać przemowy Madame.

– No nie, zanim przeniosę się do Królestwa Bożego – myślał – powinienem tutaj zarobić na mieszkanie, samochód. Muszę się jakoś urządzić! Całe życie przede mną, a ona mi opowiada o tym, że ten świat pójdzie w diabły. To nie jest religia dla mnie.

Madame na szczęście nie była zbyt natrączywa i w końcu skończyła swój wykład.

W nagrodę za cierpliwość i wysłuchanie jej tyrady dostał pyszne gâteau (ciastko).

Padając z nóg po całym tym ciężkim dniu, Michał pożegnał się i poszedł do spiżarni, pardon, sypialni. W pomieszczeniu po zgaszeniu światła było czarno jak w ciemni fotograficznej.

– Tu można by bez obawy przewijać filmy w aparatach. Nie naświetlą się.

Na razie nie było takiej potrzeby. Zorka Michała z nowiutkim filmem spokojnie leżała na dnie podróżnej torby.

– Tak musi wyglądać nicość dla tych, którzy nie posłuchają świadków Jehowy – pomyślał Michał, dosłownie nic nie widząc wokół siebie.

Ta czerń przytłaczała. Wolał zamknąć oczy, by nie popaść w desperację. Z ciemności po pewnym czasie wyłoniły się kształty. Przez szczelinę pod drzwiami przebijała iskierka światła i nadziei. A jednak wokół coś istnieje! Świat jawy i snu się przenikały. W końcu zasnął.

W poszukiwaniu świętego Graala

Rano o spaniu nie było mowy. Gospodyni tłukła garami od 6. rano. Nie wiedział, czy były to jej rutynowe zajęcia, czy też chciała jak najszybciej postawić na nogi gościa. Czas gonił. Michał dostał jeden dzień, a właściwie noc. Trzeba było wyruszyć na spotkanie przyszłości.

Po śniadaniu podziękował jeszcze raz za nocleg i gościnę i obiecał, że tout de suite (natychmiast) załatwi sobie jakieś lokum. Zrzucił na ramię torbę z notesem i planem Paryża i ruszył na podbój miasta. Były tylko dwa rozwiązania: albo coś znajdzie i zostanie w stolicy Francji, albo na tarczy wróci do Polski.

Schodząc z ósmego piętra na dół, odczuwał coraz większy lęk przed przyszłością. Odwaga topniała z każdym pokonanym stopniem schodów. Miał wrażenie, że prowadzą one do labiryntu, z którego może, ale nie musi znaleźć wyjścia.

Dzień był słoneczny i względnie ciepły, chociaż powietrze pachniało już jesienią. Mrowie ludzi na ulicy pogłębiało jego samotność. I zniknął wsparcia.

– Co zrobisz, jeśli przegram? – pomyślał. I zaraz się zgnił: – Walcz, nie masz wyjścia!

Aby poprawić sobie nastrój, postanowił przede wszystkim dotrzeć do centrum Paryża. Chciał zobaczyć pocztówkowe widoki. Tam na pewno znajdzie automat telefoniczny, który miał odegrać rolę świętego Graala. Zamierzał sprawdzić swoje kontakty telefoniczne. Byli to zupełnie obcy mu ludzie, którzy przybyszowi ze wschodu mieli pomóc tylko dlatego, że ktoś z ich znajomych udostępnił mu numer telefonu. Trudna sytuacja.

Dojechał w okolice katedry Nôtre Dame. To miejsce znał dobrze z poprzedniego pobytu. Zgiełk pędzących samochodów i spieszących dokądś ludzi, wspaniała średniowieczna architektura – to wszystko wpływało mobilizująco na Michała. To była atmosfera czynu. Przy placu stało kilka przeszklonych budek telefonicznych z automatami. Wszedł do jednej z nich. Wyciągnął parę monet jednofrankowych, które przywiózł ze sobą z Polski. Wyjął kapownik, w którym miał zapisane kontakty przekazane przez znajomych i własne z poprzedniej wizyty we Francji.

Rozpoczął wystukiwanie numerów. Pierwsze telefony nie przyniosły żadnych efektów. Najczęściej sygnału nikt nie przerywał sakramentalnym „Hallo”. Niektórzy grzecznie wykręcali się obowiązkami czy jakimiś planami. Nikt zdecydowanie nie odmawiał.

Był piątek. Wszyscy myśleli o tym, jak spędzą weekend, nie w głowie im były potencjalne problemy związane z niespodziewanym znajomym z Polski. Jeden z rozmówców przekazał mu jednak cenną informację. Niedaleko Łuku Triumfalnego znajdował się hotel, stacja Polskiej Akademii Nauk, gdzie nocleg był niedrogi. Przełamując wrodzoną nieśmiałość i kompleksy, Michał wystukiwał coraz bardziej zniecierpliwiony kolejne numery. Nadchodził piątkowy wieczór i